

Na jednym z okołokrakowskich wzgórz  
żyli babcia gołąb i pół-Abchaz Janusz.  
Wtem baba z podbrzusza rzekła, tnąc brzęk głusz:

Supersamy sfilistrzały rzną rząd biednych dusz.  
Choć mży, dżdżysty dżdżu sfruńże i ku  
żywemu Kleparzowi rusz w ekopodróż.  
Ani imieniny już tuż-tuż,  
kup Ani suszki róż bez róż,  
animuszu do Ani uszu ani rusz.  
Januszu, ty mi się tu nie nuż,  
kup niskotłuszczowy wątlusz, a nuż  
okruszki, prósz i gruszki, nóż, nóżki kurze,  
i ciuszki, plusz, czuszki kruż, kapciuszki duże,  
rzeżuszki busz, pieluszki, tusz, paluszki, kuszę.  
Cóż, że kałuże? Nie tchórz, rusz obunóż,  
ubierz żupan z półkontuszem.

Wynurzył się już zmierzchu wierzch,  
staruszka w „Ojca Mateusza” jak w pacierz  
wpatrzona prze wciąż: może kupże też  
rzeszoto, warząchew, po przetak śpiesz.  
Zmierz dres kresz wszere, nie spesze się, że beż.  
Jeżyny o płożących pędach bierz,  
pierzyny o żarzących kłębach odmierz.  
Jerzy ma superpierze - wiesz.

Dziadzio zaś obok nie zachał się, nie psioczył,  
na wątluszu już w drzemki półsen zboczył,  
strzełał z obrzynka, w morzu żuchwę moczył,  
na plaży plół zorze z niewieścich warkoczy.  
Babcia brechała do ekranu, aż gorzki morał wkroczył:  
"Gdy mówisz do człowieka, patrz w jego oczy".

**Autor: Łukasz L.U.C Rostkowski**